

Nowa koalicja musi przywrócić referendum dobre imię

8 stycznia 2024

Tegoroczne wybory przyniosły imponujący dowód patriotyzmu w postaci niemal 75-procentowej frekwencji. Ktoś – na przykład sprzeciwiający się chwaleniu Polaków za wysoką frekwencję Jan Rokita („Cynobrowe liny”, Teologia Polityczna, 17.10.2023 r.) – mógłby tu zaprotestować, mówiąc, że wysoka frekwencja nie jest dowodem patriotyzmu, lecz zwykłej polaryzacji. Nie zaprzeczam, że polaryzacja miała swój znaczący wpływ, lecz partykularyzm głosowania na konkretne stronnictwa (PiS bądź jedno z czterech stronnictw antyPiS) w tym przypadku nie unieważnia tego, że jest coś wzruszającego i obiektywnie patriotycznego w tym, że aż tylu obywateli poszło do lokali wyborczych. Każdy z nich oddał bowiem głos na taką wizję Polski, którą uważa za lepszą.

Wesprzyj nas

Jednocześnie drastyczna różnica między frekwencją w wyborach (74,38 proc., prawie 22 mln ważnych kart) a tą w referendum (40,91 proc., 12 mln ważnych kart) każe mówić, że 10 mln obywateli postąpiło antypatriotycznie, rezygnując z szansy na przedstawienie jakiegokolwiek swojego stanowiska w referendum – czy byłaby to odpowiedź „tak” lub „nie” na poszczególne cztery pytania, czy byłoby to oddanie głosu nieważnego. Oczywiście zarzut antypatriotyzmu nie dotyczy tych jednostek, których odmowa udziału w referendum wiąże się z pewnymi szczególnymi cechami charakteru lub poważnym przemyśleniem sprawy. W większości przypadków był to jednak wynik ulegnięcia przekazowi „nie daj sobie wcisnąć referendum”, bezwolnego pójścia za narracją, która nie pozwalała już na myśl, że można coś wyrazić, biorąc udział w głosowaniu, choć stosunkowo łatwo było właśnie o taką wolnościową i szlachetną intuicję. Ośmielałem się więc wyrazić dość mocne stwierdzenie, że mamy w Polsce około 10 milionów obywateli, którzy są pół-patriotami,

a pół-zdrajcami.

Można też ująć to w inny sposób i mówić o 10 milionach obywateli, którzy z jednej strony pokazali się jako samodzielnie myślący i czujący indywidualiści, a z drugiej strony – jako uczestnicy owczego pędu. Ochocho głosując w wyborach do Sejmu i Senatu na konkretnych przedstawicieli, postąpili bowiem zgodnie ze sobą (choćby z odruchem pragnienia pożegnania partii rządzącej i normalizacji polskiej polityki); w drugim przypadku zaś – ulegając popularnym przekazom – antyindywidualistycznie uznali, że zdradą stanu (czy też po prostu kompromitacją) jest już samo wzięcie karty referendalnej, zamiast w duchu „ja też mam coś do powiedzenia!” uważać, że „propaństwowa” lub „antypaństwowa” (czy też „kompromitująca” bądź „zasługująca na szacunek”) będzie dopiero konkretna odpowiedź, jakiej udzielią jednostki. Być może cytowany w pejoratywny sposób przez Rokitę pomysł opisany w sztuce Arystofanesa, żeby obywatele migających się od głosowania (w tym przypadku – właśnie od bezpośredniego sprawowania suwerenności przez demos) oznaczać cynobrowym śladem na ubraniu, byłby zasłużoną symboliczną karą w przypadku tak niefrasobliwej rezygnacji z szansy dawanej przez kartę referendalną. Z szansy – powtórzmy to jeszcze raz – nie tylko na wsparcie PiS-u, ale też na coś przeciwnego: na stworzenie własnej konfiguracji odpowiedzi czy wyrażenie buntu w postaci głosu nieważnego.

Przed wyborami argumentowałam, że strona liberalna powinna była wzywać nie do bojkotu referendum, ale do głosowania na odpowiedzi antypisowskie (np. prouchodźcze) czy też właśnie do zamanifestowania sprzeciwu wobec sposobu sformułowania pytań przez wrzucenie pustej kartki. Taki sprzeciw – inaczej niż bojkot referendum – nie byłby bowiem wypisywaniem się ze wspólnoty. Byłby to bunt jednostek w ramach wspólnoty. Co więcej, obranie przez opozycję takiej strategii miałoby nie tylko wymiar wspólnotowo-idealistyczny, ale także pragmatyczny, ponieważ wtedy wynik referendum nie byłby – jak

niestety się stało – zafałszowany na korzyść światopoglądu PiS.

Powyższe charakterystyki nie służą wyłącznie rozpamiętywaniu tego, co minęło. Przeciwnie, sądzę, że owa usilna – i, jak widać po różnicy między frekwencją wyborczą a referendalną – skuteczna promocja dezercji z referendum była krokiem nieprzemyślanym, który może rezonować w społeczeństwie jeszcze na długo po wyborach 2023 roku i destrukcyjnie wpływać na przyszłość polskiej polityki i rozwój społeczeństwa obywatelskiego. Otóż atakowanie ludzi silnym przekazem „referendum to ściema” oraz prasowymi i tiktokowymi „poradnikami wyborczymi”, które okazywały się tak naprawdę instrukcjami, jak odmówić wzięcia karty referendalnej – a także okraszone w mediach społecznościowych serduszkami powyborcze komentarze typu „nie tylko odsunęliśmy PiS od władzy i osiągnęliśmy rekordową frekwencję, ale także uwaliliśmy referendum” – stworzyły dość silny przekaz, w którym, w przeciwieństwie do wyborów przedstawicieli, identyfikuje się referenda z czymś złym, podejrzanym, czego należy odmówić lub przynajmniej podchodzić do tego z wielką ostrożnością.

18-letnia dziś hipstersko ubrana kobieta z błyskawicą Strajku Kobiet na torbie, która niedawno zdobyła świadomość wyborczą i feministyczną, zapamięta, że głosując po raz pierwszy w roku 2023, wypowiedziała w lokalu władczym tonem polecenie: „bez karty referendalnej”. W jej umyśle stworzy się skojarzenie, że referendum jest czymś przeciwnym byciu po stronie demokratycznej i feministycznej. Podczas gdy to właśnie możliwość opowiedzenia się za czymś w referendum jest reprezentacją sprzeciwu wobec narzucających coś odgórnie patriarchalnych struktur, w tym – może być przypadkiem wykorzystania przeciw patriarchy jego własnej broni. Podobne skojarzenia powstaną u wyborców głosujących w jednej z komisji na warszawskim Bemowie, gdzie ludzie – w drodze efektu kuli śnieżnej – naśladowali tych, którzy stali przed nimi w

kolejce, i powtarzali do członków komisji: „ja też bez karty referendalnej”. Postępowanie takie utrzymywało pewną postawę wyższościową: „my tylko głosujemy na przedstawicieli, jesteśmy za mądrzy, żebyśmy brali udział w jakimś referendum”. Choć oczywiście jest to tak naprawdę postawa niższościowa: obywatel nie korzysta z przysługującego mu prawa do wypowiedzenia się w konkretnej kwestii, bo wmówiono mu, że zasługuje tylko na wybór przedstawicieli – na „wolność nowożytnych”, a nie na „wolność starożytnych”.

Jak można domniemywać po tych przykładach, efekty, jakie kampanie na rzecz bojkotu wywarły na psychice indywidualnej i zachowaniach społecznych, daleko wykraczają poza niechęć do „tego konkretnego referendum” i zaczynają przypominać raj liberalnych przeciwników demokracji bezpośredniej. Jak argumentowałam w tekście dla „Rzeczpospolitej”, to za mało, żeby sama niechęć do konkretnego występu PiS-u wzbudziła tak agresywne kampanie i hasła jak „nie daj sobie wcisnąć referendum”, „referendum to ściema”, „nie bierz karty”. Swoją rolę musiała tu mieć zakorzeniona w umysłach wielu sympatyków liberalizmu niechęć do demokracji bezpośredniej jako takiej.

Niezależnie od intencji, wzywanie do bojkotu głosowania, które to apele w masowym odbiorze były równoznaczne z obrzydzaniem referendum jako takich, stanowiło przejaw braku długoterminowego, strategicznego myślenia Koalicji Obywatelskiej i Lewicy na temat naprawy polskiej polityki oraz przywrócenia wspólnotowości i różnorodności zamiast polaryzacji. Wykreowanie „podprogowego” negatywnego i podejrzliwego skojarzenia z referendum – w jakimś sensie grającego też na identyfikacji referendum z prawicą i czymś w sam raz dla jej wyborców, czyli, według pewnej narracji, „motłochu” – może jeszcze bardziej zniechęcić ludzi do podpisywania się pod oddolnymi wnioskami o organizację referendum. A także sprawić, że gdy to nowa, lewicowo-liberalna koalicja rządząca (czy to z powodów idealistyczno-

wspólnotowych, czy bardziej pragmatycznych i partykularnych, jak większa legitymizacja jej polityki, zyskanie na wizerunku czy zatarcie wewnętrznych napięć) będzie chciała przeprowadzić tego rodzaju głosowanie, spotka się z niezrozumieniem, brakiem zaufania i niską frekwencją. Obywatele poczują się zdezorientowani, bo przecież podczas poprzednich wyborów było to „coś złego” i niepotrzebnego, a skoro tak, to i tutaj nie należy brać udziału, bo na pewno to referendum jest kolejną „ściemą” czy „kompromitacją święta demokracji”.

Konsekwencją byłaby nie tylko wizerunkowa porażka nowej władzy, lecz przede wszystkim utrudnienie przenoszenia decyzyjności z poziomu arbitralnej władzy na poziom obywateli w ów specyficzny – łączący indywidualizm ze wspólnotowością, ale nie z kolektywizmem – sposób, jaki daje demokracja bezpośrednia. Nawet jeśli idea demokracji bezpośredniej nie należy do rdzenia światopoglądu nowej koalicji, jej przedstawiciele często przypominają, że ich misją jest zastąpienie PiS-owskich uzurpacji nie tylko spokojem i merytoryką, ale też prawdziwym wysłuchiwaniem obywateli. Nawiązanie do istotowo liberalnej, ale także związanej z demokracją bezpośrednią sprawczości jednostki-obywatela znajduje się choćby w specyficznym rozłożeniu akcentów w logo KO: „koalicJA OBYWATELska”, jak również na popularnym plakacie autorstwa Łukasza Rayskiego „konsTYtucJA”, gdzie „ty” jest białe, a „ja” czerwone (co było interpretowane przez prawicowych publicystów jako promocja narcyzmu; sądzę, że nie należy wykluczać założeń o ukrytym znaczeniu tego koloru, choć wolałabym tu mówić o słusznej dziś, stosunkowo dziś rzadkiej wśród liberałów, promocji indywidualnej dumy w kontekście innym niż LGBT).

Inteligentnemu politykowi czy publicyście, w tym liberalnemu, może też przyjść do głowy, że tak naprawdę referenda przyczyniają się do depolaryzacji społeczeństwa – po pierwsze dlatego, że likwidują bezsilność i frustrację związaną z tym, że to nie sami obywatele, lecz władza odgórnie ustaliła nowy

porządek, a zatem podział na jego zwolenników i przeciwników, gdzie obie grupy – mimo ich aktywności m.in. na protestach – są skazane na relatywnie bierną rolę. Po drugie dlatego, że mimo iż odpowiedzi w referendum mają dychotomiczny charakter (tak/nie), to tego rodzaju pytanie zadawane jest w różnych konkretnych sprawach. Referendalne głosy odrywają się zatem od polaryzujących pakietów, w ramach których zgodnie z oczekiwaniami społeczeństwa (i jego plemion) osoba posiadająca jeden pogląd z danego pakietu powinna posiadać również resztę z tego samego pakietu.

Antyreferendalny przekaz wynikły z kampanii na rzecz bojkotu może się utrwalić, jeżeli po 2023 roku przez długi czas nie będzie w Polsce żadnego referendum ogólnokrajowego. Co innego, gdyby relatywnie niedługo – na fali ożywczego dla polskiej polityki fermentu zasianego przez zmianę rządu – po specyficznym referendum PiS-owskim odbyło się inne tego typu głosowanie. Wówczas również polska polaryzacja zadziałałaby na korzyść demokracji bezpośredniej – sprzyjające nowemu, lewicowo-liberalnemu rządowi w Polsce media uruchomiłyby narrację, że w referendum warto wziąć udział.

Elementem wysłuchiwanie ludzi przez nowy rząd i potrzebnego po 15 października przypominania, że warto ufać demokracji bezpośredniej, mogłoby być poddanie pod referendum dwóch spraw, które PiS w sposób uzurpatorski rozstrzygnął w czasie swych rządów: jednej dotyczącej autonomii moralnej obywateli (chodzi o kształt prawa aborcyjnego), a drugiej dotyczącej codzienności i praw związanych z pracą i konsumpcją (zakaz handlu w niedzielę).

Jako pewne ćwiczenie Polski w demokracji bezpośredniej lepsza wydaje się jednak kwestia niedzielного handlu. Sprawa ta nie jest bowiem tak polaryzująca moralnie jak problem aborcji. Podczas gdy głosowanie w sprawie aborcji mogłoby raczej pełnić rolę wyjątkowego referendum, które wydarza się w liberalnych demokracjach raz na dłuższy czas (jak głosowanie nad przyjęciem konstytucji z 1997 r. czy akcesją do UE w 2003 r.),

referendum w sprawie handlu w niedzielę, ze względu na to, że odnosi się do codzienności obywateli, mogłoby oswajać obywateli z „ateńskim” czy też raczej dzisiejszym „szwajcarskim” sposobem decydowania o życiu w państwie. Dodatkowym atutem kwestii handlu w niedzielę jest fakt, że nie stanowi ona zagadnienia czysto proceduralnego. Posiada pewne cenne dla pobudzenia polskiej debaty i dociekań myślowych (w tym całkiem oddolnych, „prywatnych” rozmów i solilokwiów) tło w postaci sporu o spuściznę chrześcijańską, etykę i rozumienie liberalizmu.

Podobnie jak kwestia referendum w sprawie aborcji, głosowanie w sprawie handlu w niedzielę popierane jest przez Trzecią Drogę – relatywnie ochoczą zwolenniczkę demokracji bezpośredniej na tle KO i Lewicy (miała ona także w swoim programie wyborczym nieco utopijny, acz interesujący projekt przekształcenia Senatu w instytucję złożoną ze stu wylosowanych obywateli). „Sprawa dotyczy wszystkich, dlaczego tylko politycy mają o tym decydować?” – stwierdził Michał Kobosko z Trzeciej Drogi, proponując pod koniec sierpnia dopisanie kwestii otwarcia sklepów w niedzielę do listy pytań referendalnych zadanych przez PiS. Podobnie jak Konfederacja, która zaproponowała własne pytania referendalne i uważała, że decyzję w referendum ich wyborcy powinni podjąć zgodnie z własnym sumieniem, Kobosko, w przeciwieństwie do swoich kolegów z KO i Lewicy, nie wykazał się programowym uprzedzeniem do demokracji bezpośredniej, lecz uznał referendum PiS za coś, co można wykorzystać w celach proobywatelskich. Zobaczymy, czy on i jego partyjni koledzy będą w sprawie niedzielnego handlu skutecznie apelować o zastąpienie niegdysiejszego arbitralnego werdyktu rządu PiS werdyktem obywatelskim.

Pozytywne nastawienie do referendum w środowisku lewicowo-liberalnym częściowo przywraca także niedawny postulat Lecha Wałęsy, aby odwołać w ten sposób prezydenta Andrzeja Dudę. Ponieważ kadencja prezydenta jest ustalona w konstytucji,

liczni prawnicy uznali, że głosowanie takie byłoby niepraworządne. Jednak aplauz „zwykłych” obywateli, którzy są przeciwnikami Dudy i PiS-u, każe poważnie zastanowić się, czy nie wprowadzić w Polsce instytucji referendum odwoławczego na poziomie nie tylko samorządowym (art. 170 konstytucji), ale też centralnym – na wypadek gdyby obywatele uznali, że np. prezydent szczególnie sprzeniewierzył się swoim obowiązkom. Ewentualne nowe rozwiązania prawne w tej sprawie poparł w rozmowie z Polskim Radiem poseł Bartosz Romowicz z Trzeciej Drogi. Co ciekawe, prawnik prof. Marek Chmaj, inspirowany propozycją Wałęsy, zaproponował referendum nie tyle w sprawie skrócenia kadencji Dudy, ile w „ważnych kwestiach ustrojowych” (jak religia w szkołach, legalizacja marihuany czy eutanazja). Proponuje więc – i słusznie – coś bardzo podobnego do wyśmiewanego przez liberałów proponowanego przez Dudę w 2018 r. referendum konsultacyjnego.

Niewątpliwie referendum w ważnej dla wszystkich sprawie – takiej jak np. handel w niedziele – byłoby czymś sprawiedliwym z punktu widzenia urealniania polskiej demokracji, tworzenia poczucia wspólnoty oraz zaspokojenia indywidualnej potrzeby wypowiedzenia się wielu Polek i Polaków. Przywracałoby również demokracji bezpośredniej należny dobry (a przynajmniej neutralny) wizerunek po agresywnych wezwaniach do bojkotu referendum 15 października.

Autorstwo: Anna Czepiel

Źródło: NowyObywatel.pl